

IZA MACIEJEWSKA

LAS PACHNĄCY POŻĄDANIEM



Copyright © by Iza Maciejewska

Copyright © by Wydawnictwo Magnolia, Łódź 2021

Jeśli jesteś sobą – jesteś kimś.

Prolog

– Mamo, błagam cię, nie każ mi tam iść. – Z ust młodziutkiej, bo zaledwie osiemnastoletniej dziewczyny, wydobył się dźwięk przypominający skamlenie zranionego zwierzęcia. Olbrzymie brązowe oczy potęgowały to wrażenie po stokroć.

Matka była jednak nieugięta.

Może gdyby sama musiała stawić czoła tym wszystkim ludziom, którzy poniżali jej córkę, którzy za pewnik przyjęli winę Karoliny, może wtedy podeszłaby do sprawy nieco inaczej. Tak po ludzku. Z empatią, zrozumieniem i współczuciem.

Może.

– Nie dyskutuj ze mną! – Twarz Alicji Potockiej przybrała kolor purpury. Kobieta sięgnęła po papierosa. Jej głos przypominał warczenie wściekłego psa. – Trzeba było siedzieć z dupą na miejscu, a nie szukać wrażeń! Teraz wszyscy znajomi wytykają mnie palcami i mówią, że wychowałam kurwę! Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, co nam zrobiłaś?! Czy ty masz świadomość tego, jak jesteśmy teraz postrzegani?! Jaki wstyd nam przyniosłaś?! – Z trudem panowała nad tym, aby nie spoliczkować córki. – Jak tylko wrócisz, masz się spakować. Ojciec odwiezie cię na dworzec. A teraz zejdz mi z oczu, nie mogę na ciebie patrzeć. – Otworzyła drzwi, a Karolina, pełna strachu, oblana zimnym potem i mająca odruch wymiotny, ilekroć tylko

pomyślała o tym, gdzie ma iść, rzuciła matce spojrzenie pełne rozpacz i wyszła z domu ze zwieszoną głową.

Idąc ulicą, miała wrażenie, że jej nogi są tak ciężkie, jakby zostały wykonane ze stutonowych ołowianych słupów. Musiała się na chwilę zatrzymać, wziąć kilka głębokich oddechów i opanować narastające mdłości. Oparła plecy o ogrodzenie jednej z posesji znajdującej się przy ulicy, przy której mieszkała. Jedyne, czego teraz pragnęła, to znaleźć się na bezludnej wyspie, na której nie będzie nikogo, kto mógłby ją skrzywdzić. Z niemałym trudem, ale w końcu zapanowała nad emocjami, powtarzając sobie kilkukrotnie, że przecież da radę. Ten ostatni raz da radę, a potem już nigdy więcej tam nie wróci. Nikt jej do tego nie zmusi, wszak za miesiąc będzie już pełnoletnia i sama będzie o sobie decydowała. Wyprowadzi się z domu... W tym momencie jej myśli się zatrzymały, bo gdzie ona miałaby się niby wyprowadzić? No gdzie? Bez pracy? Bez pomocy? Bez wsparcia kogokolwiek z rodziny? Przecież rodzice już teraz podejmowali za nią decyzję, twierdząc, że robią to dla jej dobra.

Jeśli komukolwiek w tym momencie robili dobrze, to tylko sobie.

Idealnym potwierdzeniem dla tej teorii były słowa matki. Karolinę aż zmroziło na samo wspomnienie. Jej mama, ta sama, która jeszcze miesiąc temu wybrała się z nią na zakupy, planowała wspólne wakacje, wypytywała o chłopaków ze szkoły, ta sama mama powiedziała do ojca – sądząc oczywiście, że wyrodna córka śpi i nic nie usłyszy – że żałuje, iż ją urodziła. Żałuje, że nie zrobiła skrobanki, bo nie byłoby teraz wstydu na całą okolicę. Słyszając to jakże bolesne dla niej wyznanie, zrozpaczona dziewczyna zamknęła się w łazience i sięgnęła po ojcowską maszynkę do golenia. Trzęsącymi rękoma wyjęła z niej żyłkę... i się zatrzymała.

Brakło jej odwagi.

Teraz, gdy stała przed swoim technikum, również brakowało jej odwagi. Tym razem do tego, żeby wejść do środka i odebrać świadectwo.

- Dziwka. - Usłyszała za swoimi plecami stłumiony żeński chichot. Nawet nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, że ta obelga wycelowana była w nią, a autorką kwiecistej wypowiedzi jest Kamila, jedna z klasowych koleżanek. Ledwo powstrzymując łzy, odważnie nabrała w płuca powietrza i otworzyła drzwi, za którymi mogło spotkać ją wszystko.

1

Karolina przytuliła zaczerwieniony od płaczu policzek do autobusowej szyby. Upokorzenie, którego doświadczyła w szkole, pozbawiło ją resztek nadziei na to, że kiedykolwiek będzie lepiej. I nawet jeśli jeszcze rano przeszło jej przez myśl, żeby postawić się rodzicom i powiedzieć im, że ona do żadnego wujostwa na wieś nie pojedzie, tak po powrocie z rozdania świadectw było jej już naprawdę wszystko jedno. Matka i tak z nią nie rozmawiała, ojciec tolerował ją chyba tylko dlatego, że tak wypadało. Zniknięcie im z oczu było najlepszym, co mogła zrobić. Spakowała się w dwie walizki i jedną sportową torbę. Nim wyszła ze swojego pokoju, omiotła go po raz ostatni smutnym wzrokiem.

Jej przystań. Jej królestwo. Już nie czuła się tutaj bezpiecznie. Tak między Bogiem a prawdą, już nigdzie nie czuła się bezpiecznie. Z głębokim westchnieniem spojrzała na swoje łóżko, na drewniane biurko, przy którym tworzyła fantazyjne obrazy, na ulubiony fotel, na półkę z książkami. W odruchu bezwarunkowej miłości, jaką darzyła ten mebel oraz jego zawartość, wyciągnęła dłoń, aby zabrać ze sobą kilka książek, szybko jednak zmieniła zdanie. Tam, gdzie się wybierała, książki nie będą jej potrzebne. Zamknęła za sobą drzwi i poszła na dół.

Matka siedziała w kuchni, paliła papierosa.

– Mamo, ja... – zaczęła, ale tak naprawdę nie bardzo wiedziała, co mogłaby jeszcze powiedzieć, dlatego pokręciła tylko z rezygnacją głową i wyszła z domu.

Alicja równocześnie z wyjściem córki wypuściła z płuc chmurę dymu i odetchnęła z ulgą. Gdy usłyszała, jak Robert, jej mąż, wyjeżdża z podwórka, wstała i kilkakrotnie przemierzyła całą długość kuchni, a potem, jak to miała w zwyczaju od mniej więcej miesiąca, to znaczy od dnia, w którym spadła na nią ta niewyobrażalna tragedia, obdzwoniła wszystkie swoje bliższe i dalsze koleżanki i głosem pełnym kłamliwego cierpienia oznajmiła, że Karolina została odwieziona na leczenie do zakładu psychiatrycznego. Jak na razie na całe dwa miesiące wakacji, a co będzie później, to się okaże. Był to naturalnie wierutny bluff, jednak Alicja zdecydowanie bardziej wolała, aby ludzie jej współczuli, aniżeli wytykali ją palcami za grzechy córki. W swych cierpiętniczych wynurzeniach pytała, co ona takiego złego uczyniła, że los ją tak strasznie pokarał? A pytała tylko dlatego, żeby koleżanki jej współczuły i mówiły wszystkim, że przecież ta Ala to taka dobra kobieta, taka miła, zawsze się uśmiechnie, pogada. Tylko ta jej córka... No kto by pomyślał, że takie podłe dziewczuszyko z niej wyrośnie?

Gdy już skończyła obdzwaniać wszystkie Halinki, Beatki i Grażynki, zmusiła się do wykonania jeszcze jednego telefonu. Tym razem do swojej młodszej siostry. To właśnie do Anny i jej męża Borysa została wysłana Karola. Ta ich dziura była oddalona od Kalisza o ponad czterysta kilometrów, a że główni zainteresowani mieszkali praktycznie w środku lasu, znaczyło to, że jej córka spędzi najbliższe dwa miesiące na totalnym zadupiu. Natomiast ona, Alicja, zrobi wszystko, ale to wszystko, aby po powrocie Karolina była postrzegana jako nieszkodliwa wariatka.

Nie robiła tego z troski o własne dziecko. Kierowały nią egoistyczne pobudki.

Rozmowa sióstr była nieprzyzwoicie kurtuazyjna i zawierała w sobie krótkie informacje dotyczące się tego, o której godzinie Medycey powinni spodziewać się siostrzenicy. I o ile starszą z sióstr bardzo radowało to, że pozbyła się problemu, tak młodsza była wściekła. Nie na swoją chrześnicę. Na jej durną matkę, która pozbywała się własnego dziecka jak jakiegoś wysłużonego mebla, a wszystko po to, aby podbudować swoje samopoczucie. Anna oczywiście nie byłaby sobą, gdyby nie przypomniawszy swej do przesady idealnej siostrze kilku grzeszków z lat młodości. Grzeszków, które wywołały rumieniec wstydu na twarzy Alicji i oburzony komentarz.

– Nie życzę sobie, żebyś umoralniała mnie w kwestii wychowania mojej córki – warknęła do słuchawki.

– Chyba jednak sobie życzysz, skoro powierzasz mi opiekę nad nią. – Ania Medycka, z domu Paprocka, znana była z tego, że zawsze mówiła to, co leżało jej na wątrobie. Pokrewieństwo nie dawało nikomu taryfy ulgowej. – Skoro to ja mam być przez najbliższe dwa miesiące odpowiedzialna za twoje prawie dorosłe już dziecko, miej świadomość, że podejść do tematu bardzo po mojemu. Jeśli jednak masz z tym jakikolwiek problem, to możesz już wyjeżdżać z domu i gonić autokar. Złapiesz go pewnie w okolicach Łodzi i jeszcze sobie piękny magnesik przy okazji na lodówkę kupisz. Decyzja należy do ciebie.

Alicja już miała fuknąć na siostrę, ale w porę się opanowała. Głosem zimnym jak lód powiedziała:

– Podeślij mi numer konta. Prześlę ci pieniądze na utrzymanie Karoliny.

– Karola będzie moim gościem, a ty możesz te pieniądze przeznaczyć na terapeutę. Swojego. – Anna nacisnęła czerwoną słuchawkę na telefonie i zakończyła rozmowę. Musiała się położyć. Rozmowa z siostrą, jak zwykle zresztą, dalece odbiegała od typowych pogawędek, jakie z reguły spokrewnieni ze sobą

ludzie odbywali. A wszystko dlatego, że Borys zakochał się w niej, a nie w Alicji.

– Znowu się pokłóciłyście? – Borys, według siostry swojej żony współwinny całego zła, jakie występowało na tym świecie, wszedł do pokoju.

– Ja już nie pamiętam, kiedy my się nie kłóciłyśmy. Karolina powinna być o osiemnastej. – Anna wtuliła się w ramię męża, który doskonale wyczuwając jej nastrój i potrzebę bliskości, przycupnął obok. – Z jednej strony tak bardzo się cieszę, że ona przyjeżdża. Ostatnio była tutaj chyba dziesięć lat temu. Ale jak sobie pomyślę o tym wszystkim, co ją spotkało... Kochanie, ja się o nią naprawdę martwię.

Małomówny zazwyczaj Borys pocałował żonę w czoło i powiedział:

– Będzie dobrze. Podjadę jeszcze do leśniczówki, bo Daniel prosił mnie wczoraj, żebym mu pomógł w naprawie auta.

Pięć minut później mąż Ani wyszedł z domu, jej umysł krążył natomiast wokół Karoliny. Zapewne gdyby w tym momencie miała podgląd na żywo na to, jakie myśli kłębiły się w osiemnastoletniej głowie jej siostrzenicy, pierwsze, co by teraz zrobiła, to pochowała wszystkie sznury i liny, jakie znajdowały się na terenie ich posesji. Karolina, im bliżej celu podróży się znajdowała, tym bardziej upewniała się w swojej decyzji. Dziś już zapewne tego nie robi, ale jutro... jutro skoro świt wymknie się z domu wujostwa, zabierze ze sobą sznur i pójdzie do lasu.

Całe życie była przebojowa. Teraz jednak brakło jej odwagi, aby dalej żyć.

2

Traszki były niewielką wioską położoną w odległości kilkunastu kilometrów od Rzeszowa. Większość gospodarstw usytuowana była w pobliżu miejscowego sklepu, jedyny wyjątek stanowiły uroczy dom Ani i Borysa Medycznych oraz leśniczówka, w której od dwóch lat mieszkał trzydziestotrzyletni wdowiec i leśniczy zarazem, Daniel Wilczyński. Te dwa domy znajdowały się w środku lasu i dzieliło je raptem sto metrów, a ich mieszkańcy byli do siebie nastawieni bardzo życzliwie.

Gdy Daniel zamieszkał w leśniczówce, to właśnie Ania i Borys jako pierwsi złożyli mu sąsiedzką wizytę. Druga w kolejności była sklepowa Bożenka. Od pierwszej chwili, kiedy tylko zobaczyła we wsi nowego leśniczego, gdy ten robił sprawunki w jej sklepie, postanowiła na niego zapolować. Ubzduriała sobie w tej swojej dwudziestopięcioletniej głowie, że to właśnie on zostanie jej mężem, a znana była z tego, że jak tylko sobie coś postanowiła, to choćby po trupach, ale zawsze parła do celu.

Daniel, cóż, miał kilka powodów, aby uważać inaczej, a jednym z nich było to, że postanowił, iż już do końca życia będzie sam. Taką zadał sobie pokutę.

Gdy dostał propozycję objęcia posady leśniczego w Traszkach, jego żona, Magda, strasznie się z nim pokłóciła. Kiedy tylko dowiedziała się o tym, że Daniel bierze pod uwagę możliwość

przeprowadzenia się ponad sto pięćdziesiąt kilometrów tylko po to, żeby zamieszkać na kompletnym odludziu, wpadła w rozpacz. Już i tak mieszkali przy lesie, jednak przynajmniej do miasta było dość blisko. Najpierw błagała go, aby nawet nie brał pod uwagę takiej ewentualności, a najlepiej to niech zmieni zawód, żeby mogli przeprowadzić się do miasta i zacząć w końcu normalnie żyć. Potem prosiła go, żeby odmówił, aż wreszcie zaczęła grozić mu rozwodem. W międzyczasie rzuciła w niego talerzem. Nie po to kilka lat temu zakochała się w tym przystojnym leśniku, żeby poświęcić swoje życie matce naturze i zamieszkać w kompletnej głuszy. Może na samym początku podobało się jej to obcowanie z przyrodą, ale gdy zobaczyła pierwszą w swoim życiu żywą mysz, która panoszyła się po domu i wyjadała zapasy ze spiżarki, bardzo szybko i bardzo głośno zweryfikowała swoje plany na przyszłość.

Później było już tylko gorzej.

Daniel... cóż... kochał swoją żonę, jednak las kochał jeszcze bardziej. On sam nie potrafił tego zrozumieć, ale tak właśnie było. Gdy poznał Magdę, był podleśniczym i stacjonował w służbowym mieszkaniu. Ślub wzięli szybko, jego zdaniem nawet ciut za szybko, ale to ona nalegała na sformalizowanie związku. Nie oponował, w końcu Magda co rusz zapewniała go o tym, że tam gdzie on, tam i ona i żadna leśniczówka nie będzie jej straszna. Trzy lata po ślubie, gdy Daniel został leśniczym, przeprowadzili się do uroczego drewnianego domu, usytuowanego na obrzeżach krakowskich lasów. Jego żona początkowo była zachwycona nowym lokum, jednak dość szybko zaczęła jej doskwierać samotność, brak sklepów z ciuchami i kiepski internetowy zasięg. O kawie z przyjaciółkami mogła naturalnie zapomnieć. Robaki, wszędobylskie lisy i dziki biegające po podwórzu też dołożyły swoje trzy grosze. Z czasem w domu Wilczyńskich zdecydowanie więcej było kłótni aniżeli przytulania, uśmiechów i rozmów. Magda wybywała

z domu na długie godziny, tłumacząc się tym, że ona inaczej nie potrafi, musi jeździć do miasta i spotykać się z przyjaciółmi, bo inaczej zwariuje od tego samotnego siedzenia w czterech ścianach leśniczówki. Daniel kiwał wtedy ze smutkiem głową, wsiadał w swoją terenówkę i jechał do lasu. Bo cóż innego miał robić? Czekać na jej powrót i kolejną kłótnię? Mimo że byli młodym małżeństwem, coraz częściej panowała pomiędzy nimi nieprzyjazna atmosfera. Ona chciała zmusić go do zmiany zawodu i przeprowadzki do miasta, uważając, że przecież to tylko kwestia dobrych chęci. On natomiast wmawiał sobie, że wszystko się jakoś ułoży i Magda w końcu pokocha las.

Zazwyczaj gdy był sam, oddawał się przemyśleniom. W jego głowie rodziły się wtedy pytania i wnioski, które niespecjalnie go cieszyły. Zastanawiał się nad tym, dlaczego oni się tak bardzo od siebie odsunęli. Dlaczego Magda nagle zapalała taką niechęcią do mieszkania w lesie, skoro przecież na samym początku ich znajomości doskonale wiedziała, że jeśli zdecydują się na wspólne życie, to właśnie tak to będzie wyglądało. Gdy kiedyś zapytał ją o powód takiego zachowania, a zrobił to naprawdę grzecznie i spokojnie, ona zaczęła krzyczeć, że zmarnował jej życie i zamknął w klatce. Kilka minut później siedziała w swoim samochodzie i jechała w stronę miasta. Gdy wróciła, było grubo po północy, a Daniel udawał, że śpi. Rano zachowywała się tak, jakby nic się nie stało, i znowu przez kilka dni w ich domu panował względny spokój.

Tego dnia, gdy dowiedział się o przeprowadzce do Traszek i poinformował o tym żonę, zrobiła mu taką awanturę, jak jeszcze nigdy do tej pory. I właśnie wtedy kazała mu wybierać pomiędzy lasem a nią, a minę miała przy tym tak zaciętą, że był bardzo bliski udzielenia satysfakcjonującej jej odpowiedzi. Z jakiegoś jednak powodu nie zrobił tego. Coś kazało mu odwrócić się na pięcie i jak to zwykle było w sytuacji dla niego stresującej – wsiąść w samochód i pojechać do lasu.

Tam chciał podjąć ostateczną decyzję.

Wzburzona Magda złapała za kluczyki swojego opla corsy i wyjechała z podwórka. Pięć kilometrów dalej jej rozpędzone do granic możliwości auto natrafiło na przeszkodę w postaci galopującego łosia. I ona, i zwierz zginęli na miejscu.

Danielowi trudno było się pogodzić z tą stratą, tym bardziej że rozstali się w tak nieprzyjemnej atmosferze. Nie można było już przeprosić, cofnąć wypowiedzianych słów i dojść do porozumienia. Nie można było usiąść przy stole, spojrzeć sobie w oczy i wysłuchać tego, co druga strona ma do powiedzenia. Najbardziej bolało go to, że gdy można było właśnie tak postąpić, ani on, ani Magda tego nie zrobili. Wiedział, że ona ma względem niego oczekiwania, jednak jeśli miałby być ze sobą całkiem szczerzy, to i on spodziewał się tego, że to wszystko się jakoś ułoży. Samo.

Nie miał jednak na myśli takiego obrotu sprawy.

Tydzień po pogrzebie żony, spakowawszy cały swój dobytek, zdał klucze i pojechał do Traszek. Nim dojechał do leśniczówki, w której od tej chwili miał mieszkać, wstąpił do lokalnego sklepiku, aby kupić kilka potrzebnych rzeczy. To właśnie tam poznał wyjątkowo bezpośrednią Bożenę. Zakupy zajęły mu może trzy i pół minuty, zmaganie się z umizgami namolnej sklepowej – dobry kwadrans. Ze sklepu wyszedł zmęczony jak po jakimś pościgu za kłusownikami. Jeszcze tego samego wieczora wcześniej wspomniana Bożenka złożyła mu wizytę i była bardzo niepokieszona, gdy spotkała w domu Daniela małżeństwo Medyckich. Liczyła na to, że własnoręcznie upieczone ciasto będzie najlepszym sposobem na dotarcie do serca tego człowieka. I jego rozporka oczywiście też. Najlepiej natychmiast, nawet specjalną bieliznę założyła na tę okazję. Leśniczy spodobał się Bożence tak bardzo, iż nie wyobrażała sobie nikogo innego jako swego przyszłego męża, a że jej wyobraźnia była raczej z tych mocno nieograniczonych,

uznała, że zrobi wszystko, ale to wszystko, aby to właśnie on stanął z nią na ślubnym kobiercu. Najlepiej za rok, najlepiej w czerwcu. Bo wiadomo przecież, że w nazwie ślubnego miesiąca musi być literka „r”. O miejsce na wesele w remizie się nie martwiła, w końcu jej starszy brat był komendantem straży pożarnej, więc termin na sali się na pewno znajdzie. Idąc do leśniczówki z zapoznawczym ciastem, wybierała imiona dla swoich przyszłych dzieci, które, była tego absolutnie pewna, będą podobne do ojca.

Daniel zdecydowanie nie snuł tak dalekosiężnych planów, a gdy tylko widział na horyzoncie Bożenkę, uciekał gdzie pieprz rośnie. Ona natomiast ścigała go niezmordowanie już od dwóch lat. Mało tego, ilekroć się spotykali, przypadkowo ma się rozumieć, rozmowa zawsze przebiegała tak samo. Zadurzona sklepowa kręciła włosy na swoim pulchnym palcu, trzepała rzęsami i trzęsła swoim biustem, który, o tak, to Daniel musiał przyznać, był naprawdę imponujących rozmiarów. Gadała też przy tym takie bzdury, że aż uszy go bolały od nadmiaru wszelkich informacji. Jej specyficzna aparycja dalece odbiegała od jego standardów kobiecego piękna.

Bożena była niska, a przy jego metrze dziewięćdziesięciu wydawała się być wręcz karzełkiem. Gdy na chwilę uruchoił swoją seksualną wyobraźnię i zobaczył ich oboje w łóżku, w pozycji klasycznej, aż parsknął śmiechem. Jego czoło miałoby wtedy stosunek ze ścianą lub w najlepszym przypadku dorobiłby się garbu. Włosy Bożenki każdego miesiąca miały inny kolor, wierna była jednak wszelkim odcieniom czerwieni. Plus był chociaż taki, że Daniel widział ją już z daleka i błyskawicznie mógł zmienić kierunek trasy. Bożena miała długie nos, jeszcze dłuższy podbródek i malutkie oczy. Podobała się, owszem, lokalnym kawalerom, którzy uwielbiali jej pewność siebie i hardy charakter. O tak, nikt we wsi jej nie podskoczył. Cóż z tego, skoro ona to swoje kółko adoracji odrzucała jedną

zaledwie ręką, marząc noc w noc, a i w ciągu dnia też, o Danielu Wilczyńskim.

Obiekt jej westchnień nie był jednak zainteresowany bliższą relacją z jakąkolwiek kobietą. Nie znaczyło to oczywiście, że nie miał orgazmów. Tych dostarczał sobie własnoręcznie, uruchamiając do współpracy wyobraźnię i dłoń. Miał świadomość, że jest to wyjątkowo żałosne, ale poczucie winy wynikające ze śmierci żony skutecznie mąciło mu w głowie. Raz jednak go poniosło i wylądował w łóżku z przygodnie poznaną kobietą. Jakoś rok po tym, gdy objął posadę leśniczego w Traszkach, pojechał na kilkudniowe szkolenie do Warszawy. Wieczorem, w towarzystwie kolegów, z którymi studiował na wydziale leśnym na SGGW i z którymi widywał się bardzo rzadko, bo jak wiadomo – każdy z nich miał pełne ręce roboty na swoim terenie, wybrał się do miasta.

Alkoholu i pięknych kobiet nie brakowało. Daniel wylądował w swoim hotelowym pokoju ze sporo od niego młodszą dziewczyną, wykorzystując ten czas bardzo intensywnie. Gdy rano się obudził, panny już nie było. Kilku stówek, które powinny znajdować się w jego portfelu, też nie było. Ciężki kac nie pozwolił mu na szczegółowy rachunek sumienia. I chociaż nie raz, a nawet nie dwa razy zdarzyło mu się obejrzeć za przyjemną dla oka przedstawicielką płci pięknej, obiecał sobie solennie, że już nigdy nie zwiąże się z żadną kobietą na stałe. Czuł się winny śmierci swojej żony, tym samym trwał w swym pokutnym postanowieniu naprawdę mocno, święcie wierząc, że nikt ani nic nie zmieni jego decyzji.

3

Karolina otworzyła swoje brązowe oczy i zapatrzyła się w drewniany sufit. Pokój, w którym spała, był całkiem duży. Z tego, co zdążyła zauważyć, chyba największy w całym domu. „Ciekawe – pomyślała – ciekawe, czy jak zdejmą moje ciało z drzewa, na którym za chwilę zawisnę, to ubiorą mnie w czarną sukienkę, położą w tym samym łóżku, pozapalają dookoła świece i będą się modlić o wieczny odpoczynek dla mojej zbłąkanej duszy”. Bardzo szybko doszła do wniosku, że nic takiego się nie wydarzy i jak tylko pojawi się koroner, prokurator i cholera wie kto jeszcze, to co najwyżej zapakują ją w czarny worek i gdzieś wywiozą.

Może do Kalisza?

Może na głównych schodach w jej technikum ustawią pamiątkowe zdjęcie, jak to często bywa w amerykańskich filmach, i będą ją oplakiwać. Wszyscy, cała szkoła.

A jak wtedy zachowa się Patryk, ten sam chłopak, który doprowadził ją do samobójczych myśli? Czy będzie mu wstyd za to, co zrobił? Czy powie wszystkim, że tak naprawdę Karolina nie zrobiła niczego złego? Że tak naprawdę on wszystko zaplanował? „Nie – uznała, wstając po cichu z łóżka – Patryk jest złym człowiekiem i nie ma w sobie nawet odrobiny współczucia”.

Gdy zaledwie wczoraj Karolina praktycznie wybiegła ze szkoły, trzymając w drżącej dłoni świadectwo, zatrzymał ją przy wyjściu.

– Proszę, daj mi spokój... – wyszeptała błagalnie, z trudem powstrzymując łzy cisnące się pod powieki.

– Jak mam ci dać spokój, skoro wszystko mi o tobie przypomina? Śmietnik, psia kupa, dziwka na ulicy. – Chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie. – Jeśli będziesz milutka, to może podreperuję twoją opinię.

W jednej chwili przed oczyma Karoliny stanęła upokarzająca scena, w której to ona grała główną rolę. Jej dłoń sama zacisnęła się w pięść i wylądowała na nosie agresora. Zdezorientowany chłopak zdecydowanie nie tego się spodziewał, chociaż jeśli miałby być sprawiedliwy, zasłużył sobie na ten cios. Karola do kompletu dołożyła ruch kolanem, które wylądowało na kroczu Patryka. Wcale tego nie planowała, samo się zadziało. Zanim chłopak doszedł do siebie, ona była już na ulicy. Kilka godzin później wysiadała z autobusu, który zawiózł ją na drugi koniec Polski, a za chwilę odejdzie z tego świata już na zawsze.

Najpierw jednak musi wyjść z domu tak, aby nikt się nie zorientował.

Spojrzała na zegarek, była godzina czwarta i zaczynało świtać. Gdy wujek Borys przywiózł ją poprzedniego dnia z dworca, a ciocia Ania mocno przytuliła i ucałowała, Karolina poprosiła tylko o to, aby wskazano jej pokój, w którym będzie spała. Nie chciała wdawać się z nikim w zbędne dyskusje, zdając sobie sprawę z tego, że i tak narobi swoim gospodarzom mnóstwo kłopotów. Ku jej wielkiej radości, o ile plany samobójcze mogą w ogóle wydawać się radosne, wysiadając z samochodu wuja, zauważyła linę zawieszoną na płocie. Uznała w duchu, że okoliczności są wyjątkowo sprzyjające. Kiedy skoro świt znalazła się na podwórku i chwyciła w dłonie ów sznur, uświadomiła sobie, że przecież powinna zostawić jakiś pożegnalny list

i wytłumaczyć się ze swojego zachowania. Nie uśmiechał jej się jednak powrót do domu i wspinanie na palcach po skrzypiących schodach.

– Trudno – powiedziała bardziej do siebie niż do kogokolwiek i zarzuciła sobie linę na plecy. – Zrozumiem ją.

Ostatnim razem, gdy odwiedzała Traszki, miała chyba osiem lat, dwa warkoczyki i kilkanaście sztuk bloków rysunkowych w plecaku. Uwielbiała malować, rysować i wyklejać. Uwielbiała tworzyć. Pamiętała, że przywiozła wtedy do domu mnóstwo obrazów, które przedstawiały okoliczne krajobrazy. Gdyby dobrze poszukała, znalazłaby jeszcze wszystkie te rysunki. Kto wie, uznała naiwnie, może po mojej śmierci nabiorą one jakiejś większej wartości i jeszcze ktoś na nich zarobi. Może chociaż w taki sposób przysłużyć się ludzkości. Im bardziej oddalała się od domu wujostwa, tym słońce unosiło się coraz wyżej. Gdy znalazła się w dość sporej odległości od zabudowań, było już całkiem widno.

I pięknie.

Rzuciła linę pod swoje stopy i klapnęła na mchu. Poranna rosa szybko dała o sobie znać, ale jej to wcale nie wadziło. Nagle usłyszała trzask łamanych gałęzi. Automatycznie zwróciła głowę w stronę, z której dobiegł do niej ten dźwięk. Momentalnie zaparło jej dech z wrażenia, bo właśnie stanął przed nią najprawdziwszy na świecie jeleń. Dzieliło ich może dziesięć metrów. Zwierzę zastygło na moment w bezruchu, po chwili pokręciło łbem, parsknęło w dziwny sposób, odwróciło się zadem i ruszyło w drugą stronę. Karolina jeszcze długo siedziała wpatrzona w powoli oddalający się punkt, zupełnie tak, jakby wcale się jej nie śpieszyło do odbycia podróży w jedną stronę.

W końcu jednak postanowiła wstać i rozejrzeć się za odpowiednim drzewem. W momencie, w którym się uniosła, poczuła w sobie narastającą panikę. I jeśli jeszcze wczoraj

podchodziła do swego planu beznamietnie, acz stanowczo, tak dziś zaczęła myśleć o tym, czy ona aby na pewno dobrze robi. Czy nie ma innego sposobu, żeby sobie z tym wszystkim poradzić? Po kwadransie tkwienia w destrukcyjnych myślach doszła do wniosku, że tylko pętla na szyi rozwiąże jej problem. Westchnęła głęboko, otarła łzy, spojrzała w górę i kiedy dostrzegła idealną wedle swej opinii gałąź, zaczęła się zastanawiać nad tym, w jaki sposób w ogóle ma umieścić na niej sznur. Owszem, jak na kobietę była naprawdę wysoka, miała sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, jednak brakowało jeszcze kilkudziesięciu do osiągnięcia celu.

– Powinnam zabrać ze sobą krzeselko – powiedziała sama do siebie, a potem spróbowała przerzucić linę przez gałąź.

– Gdybym mógł coś zasugerować... jeśli chcesz się wieszać, to nie na tej gałęzi. – Nagle do uszu Karoliny dobiegł niski męski głos.

Krzyknęła przerażona na widok bardzo wysokiego mężczyzny, który stał tuż za jej plecami i opierał się o drzewo. Przy jego nodze warował pies. Wyżeł. W tej chwili nie była do końca pewna, czy bardziej zdziwił ją obraz samotnego jelenia o poranku, widzianego chwilę wcześniej, czy może jednak obecność tego człowieka i jego psa. O ile to w ogóle był człowiek.

– Słucham? – Patrzyła na niego skonsternowana, zastanawiając się, czy czasem nie ma halucynacji lub, co gorsza, czy nie stoi przed nią jakiś zbłąkany duch.

– Ta gałąź jest spróchniała. Tamta będzie lepsza. – Mężczyzna wskazał dłonią w kierunku innego drzewa. – Tylko nie wiem, czy do niej dosięgniesz. Jeśli chcesz, mogę cię podsadzić.

– Podsadzić? – powtórzyła niczym echo. Zaczynało robić się dziwnie.

– No tak. Podstawię ci ręce, żebyś miała z czego skoczyć. Bo wiesz, jak się człowiek chce powiesić, to wydaje mi się, że powinien z czegoś spaść. Tak tylko podpowiadam.

– Pan jest żywy? – palnęła bez zastanowienia.

– Mierzyłem dziś rano temperaturę i wyszło trzydzieści sześć i sześć. Zresztą nie tylko to świadczyło o tym, że żyję. – Uśmiechnął się do niej szeroko, jednak Karolina nie wyłapała podtekstu. „No tak – pomyślał – przecież ona wygląda na taką, co to mogła jeszcze nigdy nie widzieć męskiego członka o poranku”. – To co, chcesz się wieszać czy nie?

– Ale... ale... – wyjąkała, utwierdzona w przekonaniu, że to jednak jest prawdziwy człowiek. – Ale ja nie chciałam się wieszać. Ja... ja sobie pomyślałam... że... że... że to będzie dobre miejsce na... na huśtawkę. – Właśnie w tym momencie dotarło do niej to, w jak kuriozalnej sytuacji się znalazła i jak to wszystko musiało wyglądać z boku. „Boże – pomyślała upokorzona do granic możliwości – co za wstyd”.

– I wpadłaś na ten pomysł o czwartej trzydzieści nad ranem? – Podszedł bliżej i wyjął z jej drżącej dłoni sznur. – Tak na marginesie, to moja lina i aż się boję zapytać o to, skąd ją masz. Swoją drogą, dziwnie by mi było używać jej do holowania aut, wiedząc, że ktoś się na niej powiesił. Czułbym wtedy jakiś taki dyskomfort psychiczny.

– Ale ja wcale... – Przełknęła nerwowo ślinę i spuściła wzrok. Nie było sensu brnąć w to dalej.

– Jak masz na imię? Ja jestem Daniel, a to jest Pluto. – Wskazał na psa, który radośnie merdał ogonem.

– Karolina – wydukała, zastanawiając się, czy stać tutaj dalej, czy może lepiej odwrócić się na pięcie i wrócić do domu, gdzie zakopie się pod kołdrą i zapomni o tym zdarzeniu.

– Jesteś siostrzenicą Ani. To ciebie Borys przywiozł z Rzeszowa. – Bardziej stwierdził, niż zapytał.

Pokiwała głową, bojąc się powiedzieć cokolwiek. Tylko że chyba trzeba było się odezwać, a już na pewno przekonać tego dziwnego człowieka, który na jej nieszczęście znał cicię i wujka, że ona naprawdę nie chciała się wieszać. Ewentualnie

może spróbować go czymś przekupić. Problem tylko w tym, że Karolina nie miała przy sobie złamanego grosza.

– Ja naprawdę nie chciałam się wieszać, proszę mi uwierzyć. – Rzuciła mu błagalne spojrzenie swoich brązowych oczu. Tak naprawdę już sama nie wiedziała, po co tutaj w ogóle przyszła.

– Chciałaś. To znaczy uważam, że ostatecznie byś tego nie zrobiła, ale właśnie z takim zamiarem tutaj przyszłaś. – Widząc jej wystraszone oczy, szybko dodał. – Nie mam w zwyczaju donosić na kogokolwiek, jednak sama rozumiesz, że twoje zachowanie jest co najmniej niepokojące.

– Co pan tu w ogóle robi o tej porze? – Tak zupełnie nagle uznała, że informacja ta może być dla niej niezwykle przydatna. Pojęcia tylko nie miała do czego. Może do szantażu? Może on też chciał zrobić coś nielegalnego? Może był kłusownikiem? Albo mordercą? „I na pewno ci o tym powie, kretyńko”, usłyszała w swojej głowie złośliwą odpowiedź.

– Mam na imię Daniel. Jestem leśniczym i mieszkam po sąsiedzku. – W momencie, w którym rozwiął wątpliwości co do swego społecznego statusu, spojrzał na zegarek. – Zazwyczaj budzę się nieco później, ale dziś mój pies uznał, że potrzebuje pójść na spacer o nieludzkiej wręcz porze. Gdy wychodziłem z leśniczówki i zobaczyłem, jak przemyskasz się do lasu, poszedłem za tobą. Przyznasz sama, że mogłem się zainteresować?

– Powie pan... to znaczy powiesz wujkowi i cioci, co widziałeś? – Błagała go w myślach, aby tego nie robił. Jej oczy najwyraźniej zdradzały tę prośbę.

– Nie lubię skarżyć, ale wierzę, że wcale nie chciałaś tego zrobić. Mam rację? – Rzucił jej pytające spojrzenie.

– Ja już sama nie wiem, co chciałam zrobić. – Otarła łzę, która pojawiła się na policzku. Gdy kładła się wczoraj spać, jej ostatnia myśl tyczyła się tego, że już do końca życia będzie napiętnowana i każdy, ale to każdy będzie wiedział o tym, kim jest i co zrobiła. Nie umiała sobie z tym poradzić.

– Chcesz o tym pogadać?

– Wolałabym zachować to dla siebie.

– Jasne, rozumiem. – Daniel przewiesił linę przez ramię i spojrzał na dziewczynę z dziwnym wyrazem twarzy. – Masz może ochotę iść ze mną i z moim psem na spacer? – zapytał, jakby to, że nakrył ją w tej dziwnej sytuacji, wcale nie miało miejsca.

– A obiecasz mi, że nie powiesz nikomu o tym, co tu widziałeś? – Uznała to za swoją szansę.

– A obiecasz mi, że już nigdy więcej tego nie zrobisz? – odpowiedział pytaniem na pytanie i na znak tego, że jest gotów złożyć taką przysięgę, wyciągnął do niej swoją ogromną dłoń i czekał na jej reakcję.

Ta była wyjątkowo dziwna. Karolina przymknęła powieki, kilkakrotnie wciągnęła w swoje nozdrza powietrze i wypuściła je ustami. A potem uniosła dłonie i złapała się oburącz za gardło tak mocno, że aż brakło jej tchu. Daniel odruchowo upuścił sznur, chwycił ją za nadgarstki i przyciągnął do siebie. W jednej chwili chciał nią potrząsnąć i ją przytulić. Jej czoło oparło się o jego klatkę piersiową, a ramiona zaczęły się trząść.

– Przepraszam. Ja... ja chciałam tylko sprawdzić, czy... czy to bardzo boli. – Doprawdy, wyjątkowo oryginalny sposób znalazła, aby to zweryfikować.

– Głuptasie, z liną byłoby gorzej. Zapewniam.

– Obiecuję, że już nigdy więcej tego nie zrobię. Dziś też bym tego nie robiła. Chyba musiałam tutaj przyjść, żeby to zrozumieć.

Odsunęli się od siebie, a potem, ramię w ramię, w towarzystwie psa i w kompletnym milczeniu, ruszyli w głąb lasu.

Daniel przez cały dzień miał ogromny problem ze skupieniem się na swojej pracy, dlatego gdy wreszcie nastał wieczór, z ogromną ulgą usiadł na werandzie, otworzył piwo i pociągnął solidny łyk. Niedane było mu jednak zbyt długo cieszyć się błogim spokojem, bo właśnie na podwórko wjechała Bożenka, jego niezmordowana stalkerka, a trzeba jej przyznać, zrobiła to bardzo po swojemu.

Że też rower mógł wzbijać aż takie tumany kurzu.

– Daniel! Mam strasznie pilną sprawę! Strasznie! – Usłyszał jej głos, gdy była na zakręcie, czyli dobre dwadzieścia sekund przed tym, nim zobaczył czerwone włosy, małą osóbkę i żółty rower. Jedyny taki w całej gminie. – Daniel? Jesteś w domu? Daniel? Słyszysz mnie!? Daniel!?

– Cześć. Myślę, że nawet w Rzeszowie cię słychać. – „I to by było na tyle, jeśli chodzi o spokojne spędzenie wieczoru we własnym towarzystwie” – pomyślał lekko poirytowany. Wstał, żeby się z nią przywitać. – Co się stało?

– Cześć. – Wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek, czyli dokładnie tak, jak miała w zwyczaju od dwóch lat. Ilekroć jej usta stykały się z lekkim zarostem tego mężczyzny, Bożena doświadczała nieomylnego przeczucia, że łaďa dzień ukochany chwyci ją w swoje silne ramiona i wyzna jej miłość aż do grobowej deski.

Po jego milczącej i zdystansowanej reakcji uznała, że to jednak jeszcze nie dziś. Trudno, ona ma czas. Staropanieństwo jej nie groziło, bo przecież Daniel się w końcu oświadczy. Musi. Była tego pewna. Uśmiechnęła się słodko i zatrzepotała rzęsami dla lepszego efektu. Potem usiadła na krzeselku, zakładając nogę na nogę. O odpowiednie wyeksponowanie swojego dużego biustu też zadbała. W końcu nie na darmo oglądała te wszystkie filmiki na YouTube, z których można było się nauczyć, jak rozkochiwać w sobie mężczyzn. – W sobotę jest impreza sobótkowa. Będzie zabawa, konkursy, szukanie kwiatu paproci, ognisko i takie tam. Jak co roku zresztą. I ja właśnie chciałam cię poprosić o to, żebyś przywiózł drzewo. Dużo drzewa, na duże ognisko. – Zatrzepotała swoimi rzęsami po raz kolejny. O ponownym wypięciu biustu również pamiętała.

– Bożenko, ja to drzewo już przedwczoraj przywozłem. – Spojrzał na nią, ledwo kryjąc rozbawienie. – Sołtys poprosił mnie o to w zeszłym tygodniu. U ciebie w sklepie to zrobił. Pamiętasz? – Wątpił, aby pamiętała, bo za każdym razem, gdy się spotykali, Bożena była tak w niego zapatrzona, że wszystko inne przestawało mieć dla niej znaczenie. Gotów był się założyć o pół swojej pensji, że gdyby w tym samym momencie do sklepu wpadli złodzieje, odgoniłaby ich packą, niczym natrętne muchy, i dalej śliniła się na jego widok. W zasadzie to stawiał na to całą swoją wypłatę.

– Naprawdę? Dasz wiarę, że nie zauważyłam żadnego drzewa obok mojego sklepu? – Korzystając z okazji, poklepała go swoją nieco pulchną dłońią po udzie. Tak dość blisko krocza.

– Serio? Nie widziałas tej sterty, którą rozładowałem tuż obok twojego sklepu? – Posłał jej spojrzenie pełne wątpliwości, a w duchu płakał ze śmiechu. Zdążył się już przyzwyczaić do tego, że Bożena była jedyną osobą na całym świecie potrafiącą wmówić człowiekowi, że czarne jest białe. I musiał przyznać, że była przy tym naprawdę przekonująca.

– Musiałam się patrzeć w inną stronę. – Machnęła ręką w taki sposób, jakby odganiała namolnego komara. – W takim razie zupełnie niepotrzebnie się tutaj fatygowałam. To co, może byś mnie odprowadził? Tylko najpierw zrób mi herbaty. W moim kubku. – Każdy kubek, jaki znajdował się w kuchni Daniela, Bożena uważała za swój. Wynikało to z tego, że piła u niego niezapowiedzianą herbatę średnio trzy razy w tygodniu, a żeby było jeszcze zabawniej, co jakiś czas sama mu ową herbatę przywoziła.

Kiedys Borys powiedział Danielowi, żeby złożył doniesienie do prokuratury, bo te Bożenkowe zaloty to się coraz bardziej niebezpieczne robią. W ciągu dwóch lat, jakie spędził w Traszkach, nie było tygodnia, żeby ta kobieta kilka razy nie wpadła na niego we wsi, w lesie albo na jego własnym podwórku.

Jeszcze tylko z lodówki mu nie wyskakiwała.

Jeszcze.

Odprowadził ją, owszem, ale zabrał też ze sobą psa, z czego Bożena specjalnie zadowolona nie była. Dlaczegoż to? Ponieważ ten głupi czworonóg nie odstępował swojego pana nawet na krok, tym samym plątał mu się pod nogami, tym samym ona nie mogła wziąć przystojnego leśniczego pod ramię. No trudno, uznała w duchu, na imprezę sobótkową przyjdzie bez tego kundla, który tak naprawdę żadnym kundlem nie był, ale rodowodowym wyżłem już jak najbardziej. Bożenka miała jednak gdzieś to, jakiej rasy jest jego pies, zdecydowanie bardziej interesowało ją to, jak się ma wystroić w sobotę, aby leśniczy nie mógł od niej oderwać oczu. Uznała, że fioletowa sukienka z cekinami będzie idealna. Daniel z kolei bardzo chciał już wracać do swojej cichej oazy. Nim jednak do tego doszło, wysłuchiwał stu opowieści Bożeny, pochwalił jej nowy kolor włosów, zgodził się z tym, co mówiła, i zapewnił ją, że pojawi się na imprezie sobótkowej.

Wracając do leśniczówki, minął dom Medycznych.

I tutaj go trafiło.

Kiedy znalazł się obok zabudowań swoich sąsiadów, było już ciemno i większość okien w domu Ani i Borysa była oświetlona. Jego zaintrygowało to, które znajdowało się na piętrze. Konkretnie chodziło o postać, jaka się w nim pojawiła. Musiał się zatrzymać. Nie potrafił odwrócić wzroku, nie potrafił zignorować tego widoku, nie potrafił ruszyć się z miejsca.

W oknie stała dziewczyna z lasu. Zwrócona była do niego profilem, tym samym miał doskonały widok na jej kształty. Jakże w tym momencie błogosławił swój sokoli wzrok.

Karolina ściągnęła z siebie bieliznę, a długie włosy związała w kitkę. Na chwilę zniknęła mu z pola widzenia, co wywołało u niego cichy jęk zawodu i myśl, że ten cudowny kilkusekundowy spektakl właśnie dobiegł końca. Nic bardziej mylnego, bo po chwili ponownie pojawiła się w tym samym miejscu. Z ruchów, jakie wykonywała, wynikało, że smaruje czymś swoje ciało. Robiła to bardzo wolno i bardzo zmysłowo, z czego przecież nie mogła zdawać sobie sprawy. Dla niej była to czynność powtarzana każdego wieczora. Nie mogła się nawet domyślać, że mężczyzna, którego poznała rankiem, obserwuje ją od kilku chwil.

Obserwuje, podziwia i pożąda.

Daniel zassał powietrze, wyobrażając sobie nagie i jędrne ciało Karoliny pod sobą, a że wyobraźnię miał nad wyraz bujną, nie potrzebował wiele czasu, żeby zawartość jego bokserów stała się sztywna. Sekund brakło do tego, aby ślina zaczęła kapać mu z ust. Trzy minuty później światło w pokoju zgasło, nie pozostało więc nic innego, jak głośno westchnąć, kopnąć najbliższy kamień i skierować swoje kroki do domu.

Ponownie usiadł na werandzie, skrzyżował swoje długie nogi w kostkach, przymknął powieki i oddał się przemyśleniom. Głównym ich tematem była nowa sąsiadka. Dawno żadna kobieta tak go nie zaintrygowała, a w jego przypadku

„dawno” znaczyło tyle, że ostatnio wpadł po uszy, gdy poznał swoją zmarłą żonę. Magda zafascynowała go poczuciem humoru, charyzmą i beztroskim podejściem do życia. Gdyby wtedy, kiedy się poznali, miał ten rozum co teraz, ominąłby ją szerokim łukiem i nie naraził na krzywdę, jakiej doświadczyła. Cofnąć czasu nie mógł, pozostały mu tylko wspomnienia o zmarłej małżonce.

Niestety, nie były one miłe.

Z Karoliną zamienił ledwo kilka zdań na polanie, a potem przez dobre trzy godziny w absolutnej ciszy spacerowali po lesie. Tylko tyle i aż tyle. Od Borysa, gdy ten pomagał mu naprawiać auto, a później miał po nią jechać do Rzeszowa, dowiedział się, że dziewczyna mieszka w Kaliszu i za miesiąc skończy osiemnaście lat. Była tak cholernie niewinna, a przy tym tak kobieca, że Daniel nie mógł przestać o niej fantazjować. Nie chciał nawet. Obraz widziany kilka chwil wcześniej w oknie na stałe zagościł w jego rozochoconym umyśle.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Myśl, która wielu mogła zniesmaczyć, ale jego, o dziwo, wprawiła w wyjątkowo przyjemny nastrój. „A gdyby tak... – pomyślał. – A gdyby tak ten jeden raz odpuścić swój pokutny stan i się zabawić? Bez zobowiązań, na czas wakacji, na chwilę?” Gdy dziś rano spacerowali po lesie, kilkakrotnie złapał ją na tym, jak mu się przyglądała z pożądlwym zainteresowaniem. To znaczy tak to odebrał i miał wrażenie, że się nie pomylił. Nawet przez chwilę nie pomyślał, że mógłby ją skrzywdzić, uznając, iż dzisiejsze nastolatki są nastawione na kasę, sukces i zabawę, więc taka wakacyjna przygoda mogłaby tylko podbudować jej morale i miałyby co opowiadać koleżankom po powrocie do domu. Która dziewczyna nie byłaby zachwycona niezobowiązującym romansem z dużo starszym od siebie facetem?

„Hola, hola, panie Danielu!” – w jego głowie uaktywnił się głos, który miał monopol na wszystkie mądrości tego świata

i właśnie teraz postanowił się powymądrzać i zadać mu kilka pytań. Między innymi o to, czy poranny incydent w lesie to mu czasem nie dał do myślenia. Daniel udzielił sobie dość szybkiej i prostej odpowiedzi na to pytanie.

Miłosny zawód, ot co.

Dziewczyna się pewnie zakochała, jakaś inna panna odbiła jej chłopaka, a ona w obliczu straty postanowiła skończyć ze swoim życiem. To znaczy on już wiedział, że Karolina wcale nie miała zamiaru tego zrobić, po prostu doszła do wniosku, że pójdzie do lasu, stanie pod drzewem i będzie tam trwała dopóty, dopóki nie uzna, że wystarczy jej tego pokutnego stania. Oczywiście potem będzie opowiadała wszystkim, jak to prawie się powiesiła. Typowe podejście nastolatki, a biorąc pod uwagę to, że z jej próby samobójczej nic nie wyszło, był w stu procentach przekonany o swojej racji.

Będąc ze sobą szczerym, uznał, że mógł tej dziewczynie wyświadczyć olbrzymią przysługę. Naprawdę olbrzymią. Nawet przez sekundę nie pomyślał o tym, że ona mogłaby się w nim zakochać. Zadurzyć, zauroczyć, to i owszem. Na szczęście z takich uczuć można się bardzo szybko wyleczyć. Dzieliło ich zbyt wiele, i kilometrów, i lat, żeby cokolwiek z tego mogło wyjść. Dwa miesiące w środku lasu i Karolina wyjedzie stąd z walizką pełną ciuchów i mnóstwem wspomnień. Na samą myśl o tych wspomnieniach poczuł w podbrzuszu przyjemne łaskotanie.

Gdy otworzył oczy, uśmiechnął się pod nosem w sposób wyjątkowo wyrafinowany.